

Łaciarz



KLEMENS JUNOSZA

Łaciarz¹

Smutna noc jesienna ukołysała do snu szlachecką wioskę podlaską.

Domki i stodoły utonęły w ciemności, niby w naczyniu olbrzymiem, pełnem rzadkiego, rozwodnionego atramentu...

Z poza chmur ołowianych, ciężkich, czasem tylko, przelotnie, gdy wiatr silniejszy zawiał w górze, ukazała się gwiazdka drobna i zniknęła zaraz, jak ten, co się pokryjomu przez granicę przemyka...

Cisza była grobowa jakaś, uroczysta, światła pogasły, ludzie posnęli... tylko wicher, hulający po polach, porał się i borykał ze starą wierzbą rosochatą i odrywał z jej połamanych i krzywych konarów ostatnie listki poźółkle...

Gruby pień tej schorzałej, w górnej części od pioruna rozdartej, suchotnicy, był wypróchniały wewnątrz; z bocznych gałęzi rdzeń także już wypadł — i tym sposobem ze starej wierzby utworzył się jakiś flotrowers dziwaczny, z którego tchnienia wiatru kapryśne dobywały tony...

Z odległego boru dolatywały czasem przeciągłe, smutne wycia głodnych wilków i były one jedynym głosem, rozlegającym się wśród tej ciemności i ciszy...

Ludzie posnęli snem twardym, kamiennym — tym właśnie snem bez marzeń i wdziań — jaki jest udziałem ciężko pracujących rękami.

Kto się sochy przez dzień cały nadźwiga, lub też cepem dobrze namacha — temu twarda ława nawet starczy za pościel wygodną — temu snu mógłby niejeden możny szczęśliwiec pozazdrościć.

Od kilku już godzin, bo koguty dawno północ obwieściły, Morfeusz² samowładnie powiewał w wiosce szlacheckiej i wszyscy jej mieszkańcy chrapali tak rzetelnie, jak na prawdziwą, zagrodową chociaż zawsze wojewodom równą, szlachtę przystoi.

Podczas tej szarej nocy jesiennej, w jednym z dworków, na skraju wsi położonym, migotało białe, niepewne światelko, a na szybach okienka rysował się cień człowieka pochylonego, zgiętego, wykonywającego wciąż ręką ruchy jednostajne, miarowe...

Któż czuwa we wsi o tak późnej godzinie? komuż przysła dzika myśl palenia światła wśród nocy, która jest na to dana, aby się człowiek mógł wyspać? Zajrzyjmy tam do izby...

Jest ona duża dosyć, o dwóch małych okienkach. Na kominie, skwiercząc i trzeszcząc, tłą się dwie mokre szczapy brzozowe, po których korze białej przemknie od czasu do czasu płomyk bładny, zatrzyma się na chwilę i cofa znów do swych rodziców, dwóch grubych głowien rozżarzonych, zacerpnie od nich sił świeżych i silniejszy już, już nawet krwawym odbłaskiem bogaty, z nowym zapalem rzuca się na szczapę i coraz gorętszym pocałunkiem zdziera z niej skórę białą...

W drugim rogu izby stoi łóżko wielkie i dźwiga na sobie ogromną, kilimkiem w pasy wzorzyste powleczoneą pierzynę... Z pod jednego jej rogu widać czepiec i część czerwonej, jak cegła, twarzy energicznej szlachcianki.

Pod kominem, na garści słomy świeżej, chrapie prawa ręka gospodyni, przysadzista Brygida i widocznie ma jakieś sny idylliczno-pasterskie, gdyż często czyni gest taki, jakby cudzy dobytek energicznie wypędzała ze szkody.

¹Łaciarz — utwór został opublikowany w zbiorze *Z jednego strumienia: szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej*. Przedmowa autorstwa Elizy Orzeszkowej dostępna jest w bibliotece Wolne Lektury — Red.WL. [przypis edytorski]

²Morfeusz — bożek snu. [przypis autorski]

Na ławce pod ścianą rozciągnął się chłopak dwunastoletni może, najmłodszy już członek rodziny, głowę oparł na złożonym we czworo kożuchu, ręce podłożył pod głowę i leży tak spokojnie i cicho, jak wtedy, kiedy letnią porą, woły pasąc przededniem, w cichem rozmyślaniu przyglądał się gwiazdom wędrującym po niebie i tym szlakom mlecznym, po których, wedle podań ludowych, sami święci chadzają i aniołowie.

Sam pan Onufry, dziedzic tej chałupy i gruntu, śpi na drugiej stronie w paradnej izbie, w której sośnina, żółtą powleczone farbą, stara się jesion udawać, a swojej roboty płótno, stół przykrywające, imituje obrus.

Pan Onufry śpi, jak zarznięty, jak wszyscy jego domownicy zresztą, jak jejmość, która się przez dzień cały setnie udreptała, a nakrzyczała, nagadała dwa razy więcej jeszcze!

W izbie czeladniej i kuchni zarazem, gdzie na kominie ogień się żarzy, czuwa jedna tylko istota, ale obca temu domowi zupełnie.

Jest to żydzina blady, wąty, chudy, odznaczający się szczególną śpiczastością kształtów.

Ostro zakończona krymka, nieco w tył zsunięta, pokrywa mu czubek głowy, a z pod tej krymki wymykają się krótkie wijące się pejsy, jak dwa świderki w skronie wkręcone.

Kontrabanda to niby — ale ten żydzina tak mało słodkich owoców zakosztował w swem życiu, że może ten zakazany, a tak niewinny w gruncie, jest jedyną pociechą i przyjemnością osobistą.

Na śpiczastym nosie tkwią okulary w oprawie mosiężnej, a przez szkła tych nosościsków starożytnych, nabytych może po jakim starym, bardzo starym mnichu, widać oczy przenikliwe, czarne, o spojrzeniu ostrem — chociaż zamaskowanem nieco przez mgłę łzawą, która, jak tiulowa firanka, pada na wzrok znużony pracą i całonocnem czuwaniem.

Podłużną twarz kończy bródka rzadka, śpiczasta, wśród której, niby fastryga biała na tle czarnego ubrania, jaśnieją srebrne nici siwizny przedwczesnej.

Pień wkleśła, zapadła i szczupła, przez ciężki, przerywany oddech świadczy — ile w niej pracy podejmują ubogie płuca, aby utrzymać życie ich właściciela...

Łokcie śpiczaste, palce wyschłe i zakończone ostro, i nogi cienkie jak patyki składają się na całość, która podobną jest do szkieletu, zamkniętego w podwójnym futerale: ze skóry ludzkiej i kilku łokci czarnego, wytartego już dobrze kamlotu.

Ta wąta, tak gorliwie pracy oddana istota — to Judka Silberknopf, pierwszy krawiec warszawski na całe Łosice i wszystkie okoliczności... jak sam utrzymuje...

Przed nim leżą na stole nożyczki, garść guzików, parę pasem nici, kawałek nalepionego na deseczkę wosku i tabakierka z kory brzozonej z rzemyczkiem, napelniona ruską tabaką...

Od czasu do czasu, kiedy mgła łzawa bardziej oczy zasłoni, kiedy powieki nabiorą ołowianej ciężkości i opadać zaczną bezsilne, chude palce Judki czerpią z tabakiery porcję zielonego proszku i świeżość chwilowo powraca.

Do oczu napłyną łzy większe, mgłę zmyją i znowu wzrok bystrzej śledzi ściegi igły, mającej uszyć fajny palto warszawskie z takim dużym kołnierzem, jak sam jasnie hrabia nie nosił.

Oprócz tabaki, stoi jeszcze na stole mała buteleczka wódki, kawałek chleba, dwie cebule i szczypta soli w papierku; ale Judka człowiek praktyczny, on nie wypije teraz wódki i nie zje cebuli, bo wie o tem dobrze, że za parę godzin, kiedy on będzie rękawy przyszywał, a tam na wschodzie, między niebem a ziemią, zarysuje się już widocznie pas biały, budzący do trzeciego piania koguty — jemu się zrobi coś koło serca niedobrze...

On wtenczas uczuje takie ściskanie w dołku i taką niemoc straszną, że mało ze stolka nie spadnie; zrobi mu się słabo przed oczami, ujrzy migające się koła, bardzo ładne koła czerwone, zielone, niebieskie, złote, czarne centkowane złotem, a nareszcie całkiem już czarne, które szybko zaczną się łączyć z sobą i tworzyć jedną czarną całość...

Wtenczas lekki dreszcz przebiegnie mu po grzbiecie, na czoło wystąpią duże krople potu... zapadła pierś ciężko pracować zacznie — i chwilowo wyda mu się, że Jehowa zbiedniał, i że ma zaledwie tylko trochę powietrza i to... dla bogatszych żydów naturalnie.

Judka zna dobrze takie chwile — jemu to już nie pierwsze... On później przeprasza w modlitwie swego Stwórcę, że miał takie posądzenie grzeszne... ale jemu się zdawało, że już nie ma dla biednych powietrza.

Dlatego też, że zna te interesa, więc wódki nie pije zaraz. Przyjdzie czas na to — nie potrzeba na zegarek spoglądać... Koła zielone i złote błysną przed oczami...

Wtenczas Judka wstanie, wyprostuje się, zwilży skronie wodą, umyje ręce, zwróci oczy w tę stronę, gdzie już wyraźnie pas złocisty ziemię od nieba oddzieli — i zmówi krótką modlitwę.

W tej modlitwie same dziękczynienia zawierać się będą. Judka powie tak:

— Dziękuję Ci Boże, żeś mnie nie stworzył kobietą, dziękuję, żeś mnie nie stworzył niewolnikiem, żeś mnie nie uczynił psem!

Czyli: dziękuję za to, że jestem dzielnym mężczyzną; że jestem wolnym człowiekiem i mogę pracować osmnaście godzin na dobę; że wreszcie jestem pierwszym krawcem warszawskim na całe miasto Łosice i wszystkie okoliczności, nie zaś brzydkiem i głupim zwierzęciem.

Potem z czystym już sumieniem Judka odleje małą cząstkę trunku na ziemię, a resztę wysączy powoli, rozkoszując się każdą kroplą, która odrazu wprowadzi ciepło ożywcze do jego zziębniętego, wstrząsanego przez dreszcze, organizmu.

Wypiwszy wódkę, spożyje małą ilość chleba z dużą ilością soli i zje cebulę — ale jedną tylko — gdyż takie cebule nie trafiają się codziennie. Są one wielkie, płaskie, bladoczerwone, ze szczególnym srebrnym połyskiem — i mogą być prawdziwą ozdobą szabasowej uczyty.

Dlatego jedna z nich musi być schowaną na zapas, w najgłębszej kieszeni wytartego chałatu.

Załatwiwszy się ze sprawą pożywienia, z czerwonymi oczami, lecz z rzeźwością wywołaną sztucznie, Judka dmuchnie w ogień i postawi na kominie dwa żelazka z rączkami owiniętymi w szmaty, dwa żelazka czarne, jak jego dola, a twarde, jak ta konieczność nieublagana, co mu kark zgina ku ziemi i brodę przedwczesną siwizną przyprósza.

Zanim chrapiący mocno szlachcic i jego czeladka zbudzą się ze snu twardego, zanim Judka wykończy warszawskie fajnpalto, z kształtu do dużego worka podobne — cofnijmy się myślą wstecz i w kilku rysach pospiesznych spróbujmy nakreślić życiorys tego łaciarza.

Nie będzie w niej pięknych i estetycznych obrazów — brud, głód, ciemnota i praca nad siły — oto cztery filary, na których wsparło się życie tego człowieka.

Siła pamięci nie utrwaliła w jego głowie obrazów pięknych i poetycznych. Jak daleko sięgnęłaby myśl jego w przeszłość, wszędzie szaro, ponuro, brudno.

Jeżeli marzył o czym w dniach młodości, to chyba tylko o rublach srebrnych lub może o wielkich postępkach w talmudycznej mądrości — ale ani bogactwo, ani uczoność nie były zapisane w księdze jego przeznaczeń.

On odziedziczył po ojcach rzemiosło, z którego utrzymywać się musiał.

Pradziad jego w tem samym miasteczku szył szlachcic dostatnie czamary z potrzebami i grube opończe od deszczu.

Były to piękne czasy!

Zyją one po dziś dzień w tradycji rodzinnej Judki, w żywym słowie przechodzą z pokolenia w pokolenie, ale bo też jest opowiadać o czym!

Szlachcic wprawdzie niechętnie grosza z kieszeni dobywał — ale wszelkiego prowiantu nie żałował, a taniość była ogromna!

Nie było osobliwością mieć całego szczupaka na szabas — a czasem w dzień powszedni widywano mięso.

Roboty było dość po dworach, zarobek stąd częsty, a bogactwo było tak wielkie, że kiedy pradziad babkę Rojzę za mąż wydawał — to jej w posagu czystym złotem cztery oberzniete dukaty wyliczył... a prócz tego jeszcze talara srebrnego dał na szczęście.

To czasy były... czasy!

Dziad Judki, który odziedziczył po ojcu część domu i warsztat, już nie miał tego losu. Zawsze jednak chwalił czasy swoje, zrobił albowiem arcydzieło sztuki krawieckiej, arcydzieło, o którym lubił wnukom opowiadać...

Zrobił frak!...

Frak dla samego pana burmistrza, na wesele, prześliczny granatowy z guzikami złocnymi, do tego kamizelkę w kwiaty białe i okoliczności z nankinu kanarkowej barwy.

Wszystko leżało jak ułaj, frak był piękny, długi z wążutkami rękawami — pieścielko istne — a cały garnitur sprawiał wspaniały, nie dający się opisać efekt...

Ba! w owych czasach ludzie mieli gust, ubierali się jak lalki, a panowie byli! pięć złotych za uszycie garnituru dawali bez targu.

Dziadek miał dwóch synów, więc na ojca Judki już tylko ósma część domu przypadła. Czas się już psuł potrosze, firma zaczęła upadać, zniżono się do szycia chłopskich sukman i przedpotopowych, chociaż zawsze modnych, surdutów dla zagonowej szlachty.

W tym czasie nasz bohater ujrzał światło dzienne.

O ile może zasięgnąć pamięcią, przypomina sobie trzech lub czterech wychudłych żydziaków, schylonych nad wązkim stolikiem i szyjących zawzięcie.

Przy drugim stole ojciec chudy, suchy, jak szczapa, a dobrze już posiwiały majster, tępemi nożyczkami krajał grube sukno. Nożyce wydawały zgrzyt nieprzyjemny, Judka czołgając się pod stołem, chwycił chciwie skrawki, które były dla niego tem, czem dla bogatych dzieci są lalki mechaniczne, piękne, duże konie na biegunach, lub welocypedy.

Ojciec miał bardzo dobre serce i nie żałował synowi skrawków drobnych, ale i szczodrość ojcowska nawet ma także swoje granice; — gdy więc chłopak porwał kawałek mogący się przydać na łatę, wówczas rodziciel konfiskował mu tę zdobycz i karał go kilkrotnym uderzeniem po plecach jarmułką...

Judka z wrzaskiem niezmiernym tulił się pod opiekuńcze skrzydła, a raczej pod fartuch matki — i tu dopiero doznawał pewnego pocieszenia w swej niedoli, gdy matka pakowała mu w usta kartofel, uderzała pięścią w kark i wyrzucała za drzwi, z krzykiem:

— Gaj weg! dy paskidnik!!!

Co znaczy — „idź aniołku, posil się nieco i pobiegaj trochę po świeżem powietrzu”.

Kartofel uspakajał wzburzone nerwy Judki — wesołość wracała — tem bardziej, że znalazło się grono przedsiębiorców, równych mu pojęciami i wiekiem, którzy z wiórów zebranych na podwórku budowali bardzo piękną kamienicę piętrową, czyniąc przytem wrzask równie wielki, jak przy zdobywaniu Jerycha...

Młodość Judki upływała w jednakowych ciągle warunkach, w zimie grzał się pod piecem, w lecie zaś na słońcu — żywił się, a raczej żywiono go kartoflami i rzodkwią, a za nieposłuszeństwo lub inne zdrożności, ojciec bił go jarmułką, a matka tem, co miała pod ręką...

Kiedy już pięć lat życia skończył, wówczas ojciec myśleć zaczął o jego edukacji.

Ta edukacja spadła na niego jak grom, niespodziewanie i nagle. Wzięto go do szkoły, tak jak za dawnych czasów brano do wojska.

Pewnego pięknego poranku (bo zwykle w czarnych chwilach życia poranki bardzo piękne bywają) przyszło dwóch starszych, dwunasto lub trzynastoletnich żydziaków, pochwycili małego delikwenta za ręce i pociągnęli z sobą.

Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że bronił się walecznie... Opierał się nogami o bruk, krzyczał, walczył, ale, wobec przemagającej siły, ustąpić musiał...

Przeprowadzony przez kilka uliczek, wepchnięty został do izby ciemnej, zadusznej, pełnej dzieci, które ciekawemi, szeroko otwartemi oczami przyglądały się przybyszowi...

Przy osobnym stoliku w izbie tej siedział mąż wiedzy i mądrości wielkiej — a dziwnie surowego oblicza; przed nim leżała gruba księga, nosząca na sobie ślady palców wielu pokoleń, z których prawdopodobnie każde używało więcej tabaki, niż mydła, gdyż rogi kart były poczerniałe zupełnie.

Mistrz miał minę surową, a wejrzenie wielkich, czarnych oczu przejmowało strachem całe audytorium. Z pod jego pluszowej, wypłowiałej czapki wysuwały się włosy czerwone, a długa kasztanowata broda spadała mu na piersi...

Mistrz trzymał w ustach fajkę porcelanową, głęboką, na długim cybuchu. W tem naczyniu, które przed laty wieloma przywiózł mu w prezencie pewien bardzo wielki kupiec wprost z Gdańska, tliły się kawałki tego czarnego tytoniu, który nosi na paczce napis „Świntcent wyborowy, cienko krajany”.

Niebieskawy dymek z tego wyborowego, cienko krajanego narkotyku, łączył się z ciężką i duszną atmosferą szkoły i czynił zapach niepodobny zgoła do woni róż, fiołków lub konwalii.

Judka, przejęty trwogą, z przerażeniem spoglądał na mistrza, na jego brodę kasztanowatą i na cybuch, o którym podania młodszej generacji przyszłych kupców i obywateli

miasteczka twierdziły, iż dziwnie gładko przylega do pleców, i że ułatwia bardzo zrozumienie zawiłych znaczków hebrajskiego alfabetu.

W czasie dalszego pobytu w przybytku mądrości, Judka przekonał się osobiście, że podania te nie były owocem zmyślenia i fantazyi, ale najszczerzą prawdą; mistrz bowiem, obok uczoności wielkiej i rozumu wysoko delikatnego, miał prawicę silną i kosztownego cybucha w szlachetnym celu krzewienia oświaty nie żałował wcale...

System edukacji był bardzo prosty i niewymyślny. Mistrz omijał rozum — a trafiał wprost do pamięci... przez plecy.

Nie jego wina, że mu najczęściej tamtędy droga wypadła.

Dla oszczędności czasu — pomijał on wszelkie tłumaczenia i trzymał się tej wzniosłej, pełnej prostoty pedagogicznej, zasady, która jest podstawą gry, tak zwanej w ojca Wirgiliusza:

Ojciec Wirgiliusz uczył dzieci swoje,
Miał ich nie wiele: dwadzieścia i dwoje,
Dalej dzieci, dalej ha!
Czyńcie to, co i ja!

Uczony melamed łosicki, szanowny Rebe Jojna Gewaltlohrer, grał z pupilami swemi w ojca Wirgiliusza w ten sposób, że sam powoli, głośno, z deklamacją śpiewną i kiwaniem się nieustannie czytał, a dzieci wszystkie razem powtarzały przeczytane wyrazy, naśladowując intonację głosu i wykonywując także same ruchy, jakie czynił mistrz.

Jest to system znakomity, a ma jeszcze oprócz wielu zalet i tę jedną wielką, a nowożytnym pedagogom nieznaną, że oszczędza wydatku na sprawienie szyldu dla szkoły.

Niezmierny wrzask, który daleko jest tańszy i mniej kosztowny od deski z odpowiednim napisem, zawiadania zdaleka przechodniów i bliższych mieszkańców o istnieniu przybytku wiedzy i zarazem daje przewodnikowi szkoły najwymowniejsze świadectwo, że młodzież nie próżnuje, lecz gorliwie i pilnie oddaje się pracy naukowej i ćwiczy swój umysł.

Rebe Jojna słusznie też cieszył się wysokim uznaniem jako pedagog mądry i energiczny, gdyż potrafił uczyć młodzież najpiękniejszych rzeczy z ksiąg, które umiał wprowadzić czytać — ale nie rozumiał ich wcale.

W tym przybytku wiedzy Judka przebył lat pięć i po zabranii bliższej znajomości z cybuchem szanownego pedagoga, uczynił takie postępy, że czytał księgi święte z najpiękniejszą płacliwą intonacją — a kiwał się nad nimi tak zrećźnie, tak miarowo, jak gdyby w grzbiecie miał osadzoną sprężynę.

Zmężniawszy jednak duchem, Judka nie zmężniał ciałem; był on cienki, blady, a dziwnie podobny do młodego, ze starej karpki wyforsowanego sztucznie... szparaga.

Na matowo bladej jego twarzy nie zagościł nigdy rumieniec — tylko jedynie duże, szeroko otwarte, chociaż cechą zmęczenia napiętnowane oczy, miały pozory życia.

Jak dla przyszłego krawca, edukacja, poczerpnięta z nigdy niewysychającej krynicy szanownego Rebe Jojny, była aż nadto wystarczającą — i skutkiem tego, rozkazano Judce opuścić cheder i zasiąść przy warsztacie krawieckim — przy tym sławnym tradycyjnym warsztacie, przy którym dziadek Judki uszył ów, jedyny w historii miejscowego krawiectwa, frak, żyjący dotychczas jeszcze w pamięci starszych mieszkańców miasta...

Judka opuścił cheder bez żalu i bez czułych wspomnień, a do nowego zatrudnienia przystąpił też bez radości wielkiej.

Nawłóczył igły, przyszywał guziki, łąty przyczepiał i uczył się od ojca praktycznie, jak należy przyklepywać rękami suknie na grzbiecie klienta i dowodzić, że ciasne jest wygodnym, a obszerne ślicznie przystającym do figury, że w całej okolicy wszystkie godne osoby muszą krój pochwalić i że sam hrabia z Wywłoki lepszego ubrania w swej warszawskiej i zagranicznej garderobie nie posiada.

Przy tej pracy, prosty aż dotąd kręgosłup Judki powoli i nieznacznie skrzywić się zaczął, ale łopotka, nie mogąc się z prawą swą towarzyszką na jednym utrzymać poziomie, opuściła się nieco.

W przyszłości te drobne felery uczyniły Judkę krawcem czysto cywilnym, gdyż inaczej może byłby został bohaterem i zbierał wawrzyny na polu walki, do czego nie miał

jednak wrodzonego zamiłowania... Od małego dziecka prznosił igłę nad bagnet, a widok maszerujących żołnierzy przejmował go dreszczem.

Podczas swej praktyki fachowej zdarzało się Judce przy boku ojca odbywać wycieczki w okolice. W takich razach, oprócz potrzebnych narzędzi, brali z sobą dwa worki, w których zawsze przynosili coś dla zaopatrzenia spiżarni mamy Ruchli.

Po sześciu latach praktyki, Judka już był młodzieńcem i krawcem skończonym. Miał odświętną, własną ręką uszytą, kamlotową kapotę, czarny pas wełniany i buty. Nosił czapkę na tył głowy zsuniętą, i szykował się do podróży w bardzo odległe strony, na kraj świata prawie...

W białej budzie płóciennej, z ojcem i kilkoma członkami rodziny, puszczał się w podróż do Sokołowa, gdzie miał do załatwienia pewien mały interes.

Miał się tam ożenić.

Wprawdzie nie widział nigdy pięknej panny Bajli Goldwasser, córki miejscowego „Chabou”, która miała zostać wybranką jego serca i dożgonną towarzyszką życia — ale cóż to znaczy?

Czy gdyby ją był widział, dajmy na to, posag jej powiększyłby się choćby o grosz jeden? czy piękna Bajla potrafiłaby przez to lepiej gotować kartofle? lub taniej kupić chudą kurę na rynku?

Ani troszeczkę — pocóż więc próżna strata czasu i koszt niepotrzebny?

Orszak weselny już oczekiwał pana młodego, z orkiestrą złożoną z skrzypiec, flecika i tamburyna... Co to wesele kosztowało pieniędzy!

Wprowadzono państwa młodych pod starym spłowiłym baldachimem, ślub im dano, uraczono się na weselu i Judka rozpoczął nowe życie.

Piękna Bajla, zdjąwszy z głowy zasłonę, ukazała się oczom swego małżonka... Twarz jej była czerwona i piegowata nieco, postać cała przysadzista i krępa.

Właściwie nie było się czem zachwycić — ale należy przypuszczać, że gdyby nawet Bajla posiadała wdzięki biblijnej Judyth, lub szekspirowskiej Jessyki — dla naszego bohatera byłyby to okoliczność bardzo podrzędna i mało wzruszająca.

Dzieciak ten, dziś już mąż przecie — jeżeli kiedy marzył o czym, to najmniej o kobietach; był jeszcze tak młody, a pięknego w krótkim swoim życiu widział tak mało, o uczuciach wogóle słyszał tak niewiele, że na bohatera romansu nie miał i mieć nie mógł kwalifikacyj najmniejszych.

Małżeństwo jego był to interes ułożony wspólnie pomiędzy jego ojcem i Szmulem Goldwasser, pierwszym krawcem na cały Sokołów.

Ojcowie złożyli po trzydzieści rubli gotowizną na kapitał dla młodej pary, a Judka miał przez pierwsze trzy lata przemieszkiwać przy teściu, żyć na jego stole i kształcić się wyżej w swym fachu.

Program ten został w zupełności wykonany...

Nie wiem, czy przez pierwsze trzy lata młodzi małżonkowie spojrzeli sobie w oczy serdecznie, czy uścisnęli się za ręce, czy powiedzieli sobie jakie pieszczotliwe słówko — ale zdaje mi się, że nie.

On przepędzał czas cały przy warsztacie — ona dzieliła godziny swoje między kuchnię, kołyskę i targ, na którym puszczała się na małe spekulacyjne obroty.

Trzeba to jednak przyznać, że oboje byli sobie wierni i żadnemu z nich nie przyszła ochota rzucić spojrzania w inną stronę. Po co? oni na siebie nie patrzyli prawie...

Przybywszy do rodzinnego miasta, Judka przejął się już duchem sokołowskiego postępu; nosił o dwa cale krótszą kapotę, miewał kilka razy do roku wyczyszczone buty, a nad drzwiami swego domu wywiesił szyld z napisem: „Judka, krawiec warszawski”.

Dlaczego warszawski, zaraz to wytłómaczę.

Judka nie kłamał, część wiedzy fachowej, nie bezpośrednio wprawdzie, nie wprost, ale przez kilka etapów, spłynęła na niego z Warszawy.

Żeby to jednak łatwiej czytelnikowi wytłómaczyć, potrzebuję ułożyć coś w guście miniaturowej księgi rodzaju tej mądrości.

Judka wyćwiczył się ostatecznie fachowo w pracowni swego teścia, mistrza Szmula Goldwasser.

Szmul uczył się u Herszka Fajn w Białej, Herszko uczył się u Jankla Pięknego w Siedlcach, Jankiel uczył się u Abrama Gelbfisz, kończył studia u Borucha Włodawera na

Pradze — zaś nareszcie Boruch Włodawer praktykował u Chaima Tabaksbluma, który nie tylko, że posiadał własny warsztat w Warszawie, ale nawet dwudziestą szóstą część był właścicielem składu tandety na Krasiańskim placu.

Tak więc nikt nie zaprzeczy, że część wiedzy Chaima, przez szereg pośrednich stopni, spadła na Judkę i że majster ten miał niejaki prawa do tytułowania się krawcem warszawskim.

Prawo to przysługiwało mu tem więcej, że posiadał nawet kolorowaną rycinę z żurnalu z 1846 roku, którą można było podziwiać z ulicy przez okno, o tyle, o ile zakurzone szyby i masa much na to pozwalały.

Pomimo posagu jednak i licznej klienteli, szczęście nie sprzyjało Judce. Ojciec jego umarł — on sam kilka razy ciężko chorował — dzieci było ośmioro — wydatki duże — kuracya pochłonięła zapasy... Judka siwieć zaczął, a kaszlał coraz mocniej.

Jedną tylko szczęśliwą, chociaż krótką chwilę, miał w życiu.

Pewnego lata wydzierżawił ogród owocowy. Cóż to był za raj!

Szył w budzie słomianej na świeżem powietrzu, co niedziela jeździł z transportem gruszek — a jakie życie miał pyszne!!

Bajla gotowała przedziwną zupę z robaczywych jabłek, które wiatr z drzewa strącił przedwcześnie, była moc zielonego szczypioru, młodych kartofli i rzodkwi.

Żyć nie umierać, same delicye!

W tym okresie życia Judka śpiewał nawet. Czynił to co sobota, kiedy się szabas już skończył, a na letniem ciemno-szafirowem niebie zajaśniały myriady gwiazd. Śpiewał jakiś majufes głosem drżącym — zapatrzony w mgły blade, co się jak duchy unosiły nad sąsiednią łąką, zasluchany w rechotanie żab i krzyk derkaczy na błoniach.

Krótko trwało to szczęście!

Finansowa strona interesu świetną nie była — wiele owoców postręcały burze, ceny też nieszczerólnie były, trochę złodzieje ukradli — trzeba się było wyrzec tego rodzaju przedsięwzięć na przyszłość tem więcej, że i kapitalik poszedł na wyposażenie dwóch starszych córek, które wraz z mężami osiadły przy ojcu.

Na dobitkę osiedlił się w mieście drugi krawiec, petersburskim zwany, ponieważ był w wojsku muzykantem i stał przez czas jakiś z pułkiem aż w Brześciu, skąd przywiózł takie świeże mody, że Judki stary żurnal nawet stracił wobec nich autorytet.

Ta konkurencja była zabójczą. Lepsza klientela przeniosła się do modnego Abramka — a Judka, z workiem na plecach, wędrował po wioskach i sam szukał roboty po dworach i dworkach szlacheckich.

Właśnie od kilku dni już pracował u pana Onufrego, a pracował zawzięcie, przez ten czas albowiem uszył śliczną salopę dla pani Onufrowej, przerobił ze starego surduta kaftan dla panny Onufrownej, przerobił ze starego surduta kaftan dla panny Brygidy, oblał i odświeżył z dziesięć sztuk rozmaitego ubrania i nakoniec tej nocy miał skończyć arcydzieło — palto dla samego pana Onufrego.

Za to wszystko, oprócz fury drzewa i prowizyi w naturze, prowizyi, którą pan Onufry przyrzekł solennie odstawić własną furmanką w przyszłym tygodniu, Judka miał otrzymać w gotowiznie rubli srebrem cztery.

Arcydzieło trzeba było koniecznie wykończyć na termin.

— Słuchaj żydzie — zapowiadał pan Onufry — płacę ci, bestyo, po pańsku, ale pamiętaj sobie, żeby mi na piątek raniusko paltot był — bo ja przez lepszego odzienia na odpust nie pojadę.

— Kiedy proszę jegomości — tłumaczył się Judka — niech jegomość uważy, co ja bez ten tydzień prawie nic nie spałem...

— A to czemuś czeladnika sobie nie przyprowadził?

— Co tu czeladnik ma zrobić, kiedy ja sam zarobię tak mało...

— Powiedziałem ci, kręć jak chcesz — aby było...

— Nu — to już ja zrobię, ale niech jegomość jeszcze doda choć pół korca kartofli dla dzieciów... niech jegomość kochany nie żałuje, teraz taki czas ciężki...

— A niech cię marności!... dobrze, dam ci, ile udźwigniesz, abyś mi tylko zrobił — jeszcze ci u sąsiada robotę naraję.

Ta obietnica była dla Judki ostrogą — przesiedzi już czwartą noc z rzędu przy pracy — ale za to dostanie, oprócz zapłaty umówionej — pół korca kartofli, a i perspektywa nowej roboty coś znaczy...

Wziął się tedy gorąco do pracy, a kiedy pas złocisty zaczął się ukazywać na wschodzie — a on już do swego arcydzieła rękawy przyszywał, wówczas słabo mu się zrobiło. Barwne koła zamigotały przed oczyma z niesłychaną szybkością i zaraz prędko czernieć zaczynały...

Wtenczas Judka, według zwyczaju swego, poratował się kieliszkiem wódki i gryzając cebulą z chlebem.

Kiedy siły wzmocnił i właśnie palto prasować zamierzał, zerwała się ze swego posłania Brygida i rozpalila na kominie ogień, przy którym całego cielaka upiecby można.

Pani Onufrowa też wstała.

— A to — rzekła — żydzisko pazerny na zarobek, kiej jeszcze do tej pory siedzi!

— Każda biedność, proszę jejmości, jest bardzo pazerna — odpowiedział jej Judka — ale właśnie bez to, co ona taka pazerna jest — to jegomościć będzie na odpuszcie wyglądał, jak sam jaśnie hrabia z Wywłoki... Taki kawałek odzienie to jest rarytny interes!

Pani Onufrowa troskliwie obejrzała paltot, zganiła trochę szycie, skrytykowała kieszenie, ale w gruncie rzeczy kontenta była, że jej szanowny małżonek tanim kosztem przyszedł do takiej elegancyi, a kiedy rzuciła wzrokiem na twarz Judki, wybladła, zmęczoną, na oczy poczerwieniałe jak u królika — to jej się żal żyda zrobiło i rzekła:

— Może ci jeść co dać, boś jakoś kaducznie kiepski, mój Judko.

— Bóg zapłać jejmości, ale co ja tu mogę jeść? mnie nie wolno tego, co państwo jedzą.

Baba przyznała mu słuszność.

— Co wiara, to wiara — rzekła — zawdyk trza swego zakonu pilnować... i potem otworzyła szafkę, nalala kieliszek wódki i postawiła na stole.

— Naści — rzekła — to ci wolno przecie!

Drugi już z rzędu kieliszek i ciepło od rozpalonego na kominie ognia wywarły swoje skutki...

Judka orzeźwił się, na twarz jego wystąpiły silne rumieńce, wpadł nawet w dobry humor.

Dowcipkował, przymierzając workowate palto i gładząc je na szerokich plecach pana Onufrego.

— Cóż Małgosiu? — zapytał świeżo ustrojony szlachcic — podobne to odziewadło do czego?...

— No niby niema co gadać, sprawny żyd — porządny statek ci uszył.

— Niech jegomościć sam uważy, jak to leży — mówił Judka, wygładzając dłonią fałdy na plecach — niech kto drugi zrobi taki fajny paltot! to jest kawałek roboty, to jest sztuka! Aj waj, jegomościć tak wygląda, jakby miał na wielgie wesele jechać — ja zarobiałem moje pół korca kartofli...

— No, słowo się rzekło... dam, odesłę ci z tem, com obiecał.

— To ma być dopiero we wtorek, niech mi jegomościć da dzisiaj choć ćwiartkę dla moich dzieciów — ja wezmę z sobą do domu. Uni tam pewnie już nic nie mają do jedzenia; za taką fajną robotę, niech uni sobie zjedzą tę trochę kartofli!

Szlachcic zaprowadził żyda do kopca, pomógł mu nasypać w worek dobrą ćwierć kartofli — potem zapłacił umówione honorarium i rozstali się.

Pan Onufry z małżonką pojechał na odpust.

On w paltocie nowym, w czerwonym szaliku na szyi, wygolony świeżo, miał niezwykle uroczyście minę. Pani zaś w ogromnej, przedpotopowym jakimś krojem zrobionej salopie wyglądała jak mały... stożek siana.

Judka poszedł pieszo.

Na zgarbionych plecach niósł ciężki worek, w którym oprócz kartofli znajdowały się jeszcze dwa krawieckie żelazka.

Na drodze szkaradne błoto było. W powietrzu wisiała mgła ciężka, szara, z po za której wychylały się wyraźnie kontury drzew i krzaków przydrożnych.

Do miasteczka było blisko dwie mile, a Judka potrzebował stanąć tam przed mrokiem, gdyż to był piątek. Szabas się miał rozpocząć.

Liczył na swoją lekkość, na drewniany łokieć, którym się podpierał, wreszcie liczył na to, że go może jaki chłop dopędzi i na furkę swoją zabierze.

Przecież go wszyscy znają w tej okolicy... Żeby mu lżej iść było, zawinął poły chałata i uczepił je z tyłu za pasem; nadał swojej kapocie jakby kształt fraka, którego ogon włókł się po błocie ilekroć to głębszem było.

Nie łatwa to rzecz iść pieszo — po wyboistej drodze, pełnej grzęskiego błota, zwłaszcza gdy się dźwiga ciężar stosunkowo dość znaczny... O nie łatwa! ale Judkę popychało do domu szczęście wielkie.

On miał taki śliczny tydzień — tak dużo zarobił! Będzie miał furę drzewa i trochę prowizyi — w kieszeni gotowizną posiada całe cztery ruble, a na plecach niesie ćwierć kartofli!

Z takim sutym zarobkiem warto przecie spieszyć do domu!

Szedł więc drogą i dumał.

Z początku myśli jego koncentrowały się na sumie, którą zarobił. Rachował, obliczał, co może kupić za owe cztery ruble, oraz ile jest też warta fura drzewa i prowizya, którą ma dodatkowo otrzymać... Myśląc o tem, szedł bardzo szybko, tak dalece szybko, że uczuł, iż mu się robi gorąco. Twarz zaczęła go palić...

Musiał zwolnić kroku, nareszcie stanął, położył ciężar na ziemi; zażył tabaki i zaczął się oglądać, czy jaka fura chłopska nie nadjeżdża...

Wówczas przekonał się, że jeszcze dwóch wiorst nie uszedł.

Jak mógł okiem zasięgnąć — droga zupełnie pustą była... z przeciwnej tylko strony jechało fur kilka; dziad kulawy, wzięwszy kule pod pachę, spieszył na odpust, a biegł zamasyście, śpiewając jakąś piosnkę niezbyt nabożnej treści.

Wszyscy w tamtą stronę!

Przypomniała mu się rozmowa z panią Onufrową i zaczął o niej rozmyślać.

Sam powiedział, że biedność jest pazerna i chciwa — a przez to, że biedność pazerna, bo głodna wiecznie — bogaci mają uszyte ubranie.

To prawda jest, myślał, bieda to brzydki interes, a głód dziwnie podobny do bata; on bije, bardzo mocno bije. Koń u woziwody dostaje dużo kijów, ciągnie dużo wody, ale za to ma trochę siana. Na te ciężkie czasy koń robi niezły interes — ale łaciarz robi gorszy. Dlaczego gorszy? bo koń potrzebuje tylko siana i nie ma ani żony, ani ośmiorga dzieci, nie potrzebuje wyprawiać szabasowej uczyty, ani wydawać córek za mąż.

Judka chciał już zazdrościć koniowi, ale się przeląkł tej myśli.

Fe! cóż znowu! Koń jest bydłem, a on pierwszy krawiec warszawski na całe Łosice, co rano dziękuje Panu Bogu za to, że go stworzył człowiekiem. Koń jest głupi, a on przez pięć lat pił ze studni mądrości u uczonego Rebe Jójny. Konia po śmierci psy zjedzą, a on leżeć będzie wygodnie w ziemi pod słupkiem, na którym wyrzeźbią świecznik. Dusza jego pójdzie do przodków sławnych.

Nie! łaciarz nie zazdrości koniowi losu. On przecie miał taki obfity zarobek w tym tygodniu!

Już odpoczął i puścił się w dalszą drogę. Idzie, ale go dziwna senność ogarnia. Patrzy beznamiętnie w mgłę szarą, stawia krok za krokiem automatycznie, ale kroki są coraz wolniejsze.

Nogi ocięły, jakby kto do nich po kawale ołowiu przywiązał — nie chcą się trzymać prostego kierunku, lecz coraz zachwieją się niepewne i zakreślają łuki, jak u pijanego.

Wszakże Judka nie jest pijanym, on czuje się tylko słabym nieco...

Ale to bagatela, to przejdzie; jemu to nie pierwszy raz się zdarza... O! wieleż razy tak było!

Jest to tylko senność. Senność, przy której trochę głowa boli i dreszcze przebiegają po ciele. Czasem bywa z tego interesu choroba, a czasem tak przechodzi. Często przechodzi, Judka wie, że się można do tego przyzwyczaić — zresztą może furmanka się trafi...

Niestety, nie widać.

Pół drogi już przeszedł, lecz cóż to jest? — miasto nie przybliży się wcale, owszem zdaje się nawet oddalać — a worek strasznie ocięzał. Czyżby szlachcic zamiast ćwiartki kartofli wspaniał w niego grochu?

Nie — to kartofle istotnie. Gniotą one grzbiet... bardzo gniotą — ale czemuż są tak okropnie ciężkie? Przecież jak je brał na plecy, nie wydawały się takimi i spać mu się tak nie chciało, jak teraz.

Powieki opadają bezsilnie, nogi odmawiają posłuszeństwa, trzeba spocząć koniecznie... niepodobna iść dalej...

Na szczęście jest tuż przy drodze wzgórek, dość suchy, zeschnięta, pożółkła trawa na nim sterczy. Musiał tam niegdyś stać dąb, jeszcze pień czarny, szeroki, świadczy o tem.

Doskonałe miejsce do wypoczynku.

Judka położył worek na pniu, sam zaś usiadł na wzgórkach.

Jeszcze ma czas. Mgła opadła nieco i blade, jakby zaspane słońce, co się z poza chmur wymknęło chwilowo, świadczy, że jeszcze południa nie masz. Przed zachodem zająć można.

Judka siadł i rozmyśla, dlaczego Pan Bóg dał biednemu człowiekowi głupie nogi, co mdleją? Dłatego zapewne, że go obdarzył delikatnym rozumem... I to jest prawda...

Ale to się wszystkich ludzi nie tyczy. Jakie naprzykład znakomite nogi ma każdy faktor — jak on lata za geszefkami, jak zająć! ale za to on nie potrafi uszyć fajny warszawskiego paltota i — nie spać przez kilka nocy.

Już takie przeznaczenie. Trzeba się cieszyć talentem albo zdrowiem. Judka się cieszy talentem.

Liczy w myśli kapoty, jakie uszył w ostatnich czasach: były to śliczne kapoty! potem zgaduje, co też Bajla ugotowała na szabas? Zapewne wiele bardzo dobrych rzeczy. Śliczna to rzecz jest szabas, w tym dniu zawsze się jada i sypia, oraz chwali Boga... Kto szabas wymyślił, to musiał być bardzo mądry... O tak!...

Myśli Judki sięgają w przeszłość — jak w kalejdoskopie tworzą się w nich coraz to nowe obrazy... Cała historia życia staje przed oczami — czuje, że mu słabo — skąd znów?

To znużenie, sen dopomina się o swoje prawa.

Głowa opada na piersi, cały korpus pochyla się nareszcie mimowolnym ruchem. Łaciarz podłożył ręce pod głowę, wyciągnął nogi i usnął...

Dwie wrony, kracząc, zakreślają koła. Nareszcie siadły na zagonie i zdaleka, przekrzywiając głowy, przyglądają się śpiącemu.

Potem wlatują znów w powietrze i z góry przypatrują mu się bacznie, kraczą krzykliwie...

Dziwi ich zapewne, dlaczego ten żyd śpi przy drodze? — że nie umarł jeszcze, wiedzą dobrze — ba! wrony doskonale znają się na tem.

Już słońce zniża się ku zachodowi — po drodze chociaż błotnistej, jedzie szybko wóz drabiniasty, w dzielne trzy konie zaprzężony. Na wozie, na siedzeniu ze słomy, siedzi pan Jacenty, ekonom z sąsiedztwa, fernal Grzela powozi. Jadą po jakąś maszynę widocznie, bo wóz dobrze słomą wyłożyli i obroku na parę dni mają ze sobą.

— Stój, Grzela, stój! — woła Jacenty — patrzno, kto tu leży...

Grzela wstrzymał konie.

— A dyć, to panie, chyba żyd...

— Czy pijany? czy chory?

— E panie, może umarty, to uciekajmy lepiej, bo nas będą wodzić tam za świadków.

— Pewnie, ale trza obaczyć, jak żywy, to go weźmiemy na furę, a jak trup, to w nogi!

Grzela zeskoczył z wozu...

— Panie! to je łosicki żyd, Judka, ale musi żywy, bo krzyknę jeszcze dycha.

— Żydzie, Judko! — krzyknął pan Jacenty — a nie siabas to na ciebie, bestyjo!

Na ten wykrzyk Judka zerwał się prędkiem, spojrzawszy nieprzytomnie, jakby obłąkanymi oczami i na razie nie mógł zmiarkować, gdzie jest i co się z nim stało.

— A dyć siadaj bestyjo! — zawołał Grzela — to cię zawieziem do Łosic...

Dziękując, kłaniając się do samej ziemi, łaciarz ze swym ciężarem wdrapał się na wóz i opowiedział ekonomowi, z kąd idzie.

— Ale też żeby tak zaś paść przy drodze, jak nie człowiek — rzekł, jakby sam do siebie ekonom — to dopiero!

— Proszę jegomości — odpowiedział Judka — między nami jest takie gadanie: co kura nie ptak, koza nie bidło, a krawcy nie ludzie.

— Jakto nie ludzie? a cóż ty jesteś?

— Nu, niby uni ludzie, a nie tak jak ludzie, krawcy tylko...

— Ale baj baj, będziesz w raju! a któż ci kazał, żeby, panie dzieju, cztery noce nie spać?

— Nikt mi nie kazał, tylko widzi jegomość, każdy człowiek potrzebno żyć... Krawiec też musi żyć trochę, a jak un chce żyć, to nie może spać, a jakby chciał spać, toby nie mógł żyć, to jest bardzo prosty interes...

— To ci zyd śpekulantny — wtrącił Grzela — na każdy sposób ma bestyja swój wykręt!...

Przy osobnym, nakrytym stole, w parę godzin później, siedział Judka ubrany w nową kapotę i spiczastą czapkę z futrem.

Dzieci jedne już spały, drugie ziewały po kątach. Pani Bajla ustrojona w jakiś dziwnego rodzaju tupet, ozdobiony kwiatami i wstęgami żółtymi, kładła na talerz swego małżonka i pana kawałek mocno korzeniami zaprawionej ryby. A ten mąż i pan, i głowa swojej rodziny, myślał o tem, jaki świat piękny, kugiel smaczny, życie rozkoszne, a szabas błogosławiony!!!

Tyfusu nie dostał, bo takie niewywczasowanie, ból głowy i dreszcze przechodzą razem... gdy się już kto do wszystkich rozkoszy życia przyzwyczai.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/laciarz/>

Tekst opracowany na podstawie: Z jednego strumienia, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej, Skład Główny w Księgarni E. Wende i Spółka, Warszawa 1905.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-0325-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).